

Wara od moich kabelków

21 marca 2009

Dopiero po kilku dniach pobytu na oddziale neurologicznym zorientowałem się, dlaczego trzy toalety i pokój kąpielowy, służące mi jako palarnie tytoniu świecą pustkami...

Otóż przytłaczająca większość z 80 pacjentów była przypisana do łóżek. W szpitalnym slangu nazywaliśmy ich niezbyt ładnie "nieruchami". Ale zapamiętajcie ten termin.

Tak więc we trzech korzystaliśmy z luksusu sanitarnego clubbingu. Wysoki miał obwiązaną głowę i czekał na orzeczenie, czy jego guz mózgu okaże się złośliwy i wkrótce zetnie go z nóg, a niski kolega został przywieziony w stanie zagrożenia zatorem mózgu. Ja natomiast byłem kilka godzin po usłyszeniu diagnozy: stwardnienie rozsiane. I to diagnozy, wypowiedzianej przez przemiłą doktor T. z ulgą, bowiem podejrzewano mnie również o posiadanie obcego ciała w moich niepospolitych zwojach szarych komórek.

Staliśmy wesoło pogadując i delektując się dymem papierosowym, aż Wysoki zapytał mnie o moją przypadłość. Odpowiedziałem, a sympatyczny rozmówca wypalił: "O, to masz pan przej...e. Jak to SM, to masz pan zdecydowanie przej...e". Niski nie zaprzeczył, a ja spojrzałem na głowę Wysokiego, ściśle obandażowaną, aby mu się czaszka nie rozsypała i pomyślałem, że jednak czarny humor ma sens.

W pewnej chwili konwersacja uległa bezterminowemu zawieszeniu, gdyż usłyszeliśmy na korytarzu jakiś ruch i harmider, a więc coś nareszcie się zadziało. I rzeczywiście ujrzeliliśmy na podłodze nasze, a na nich potężnego, dorodnego trzydziestokilkuletniego mężczyznę, leżącego w całkowitej nieświadomości. Sprawiał wrażenie dziecka, śpiącego słodko po sesji ze smoczkiem i butelką mleka. A tak naprawdę został rażony zatorem. Zebrana wokół chorego rodzina cicho chlupała i

wzdychała nieszczęśliwie.

W stanie Nowego nic się nie zmieniło w ciągu najbliższych dni. Leżał cicho i nieruchomo, a różne szpeje, kable, zaworki, zatyczki i kraniki spowijały go czule jak Matka Nauka przykazała. A rodzina otaczała jego łóżko i nadal chlipała, i biadoliła. Niski wkurzył się, podszedł do tkniętej nieszczęściem rodziny, wygarniając im co i jak. Po tym wygaworze zachowanie najbliższych Nowego zmieniło się diametralnie. Zaczęli się kontaktować z chorym, a między sobą rozmawiali normalnie o powszednich sprawach, o dzieciach, o spotkaniach i wydarzeniach. Do niego też mówili jak ludzie do człowieka. Po tygodniu ujrzałem przez otwarte drzwi sali wspartego o wysoko ułożone poduszki, uśmiechniętego i całkowicie przytomnego Nowego, pogadującego z bliskimi. Patrzyłem na niego jak – nie przymierzając – na anioła życia. Poczułem się dumny z chorobowej więzi z Nowym. No, nie potrafię tego uczucia precyzyjnie opisać.

Potem Niski opowiedział, że sam po udarze spędził w stanie drewno-podobnym okrągły miesiąc. Jego mądra i kochająca żona przychodziła do niego, jak do naprawdę żywego męża. Opowiadała mu o życiu i o dzieciach, rozmawiała z nim. Niski mówił, że jej głos dochodził do niego z oddali, że rozpoznawał, iż to ona właśnie, że dochodziły nawet do niego jakieś pojedyncze słowo-podobne dźwięki, które jakby rozumiał. Orientował się też w tonie głosu, w jego zawartości uczuciowej. Odczuwał pełnię szczęścia, naprawdę.

Miałem jeszcze jednego ważnego szpitalnego kumpla. To był starszy gość z szybko powiększającym się złośliwym guzem mózgu, gość wesoły, wręcz radosny, sprawiający wizualnie wrażenie załanego w pestkę. Nudziło mu się permanentne leżenie, a więc stał u wezgłowia i trzymając się poręczy kiwał się niemiłosiernie we wszystkie strony. Rzucało nim, jakby huragan jakiś (czy inny żywioł) chciał wypróbować jego ziemską przydatność. Kiedy zaglądałem do jego małej salki starał się bujnąć w moją stronę z głośnym, gościnnym pytaniem :”Herbaty?

Napijemy się herbatki? ja mam herbatę”. Dziękowałem, a on po krótkiej przerwie na kolejne wahnięcie ryczał “No, to papieroska. Zapalimy”.

A to chętnie. Łapałem go za ręce, puszczające poręcz łóżka, sadzałem na wózku i ruszaliśmy do pokoju kąpielowego: on na progu stanu terminalnego (czy jak tam się to nazywa), ja w połowie ślepy po ataku choroby – para jak z przypowieści i dowcipów. Siadałem naprzeciwko na brzegu wanny i kurzyliśmy ze smakiem jak zdrowi, żywi ludzie. Mówił: “Mam herbaty bardzo dużo, tak więc, jeśli miałby pan ochotę to serdecznie zapraszam. I papierosy też mam”. Dziękowałem szczerze i konwersowaliśmy w rześkiej atmosferze sanitariatów. Tak, on naprawdę trzymał się życia towarzyskiego, jak poręczy swojego łóżka, aby się całkiem, z imentem nie przewrócić.

Tacy byli ludzie, z którymi się spotykałem. Reszta spoczywała w nieruchomej ciszy na łóżkach, a ich czas odmierzały stukot, klekot i cykanie jakichś odsysaczy, pomp i pompek, zegarów, kroplomierzy i innych czułych wynalazków postępowej myśli ludzkiej.

Ale owa postępową myśl wykręciła jakiegoś szpryngla i fiknęła w odmęty ogólno-humanistycznej teorii pomocy w umieraniu. Pomoc owa ma dotyczyć – jak to się wyraził jakiś etyk czy filozof – owych “strzępów ludzkich”, które jakąś biedną, ale najżywotniejszą resztką świadomości odbierają odgłosy świata zewnętrznego i przetrawiają je w konstrukcje wyobraźni, której jakieś drobiny pewnie tkwią w glebie mózgu.

SM jest chorobą postępującą. Jeśli nie umrę na cokolwiek wcześniej, ale Pan Bóg – jeśli tak można powiedzieć w mojej sytuacji – da mi zdrowie, to przy końcu mojej drogi znajdę się w położeniu “nierucha” (czy zapamiętaliście ten termin?), zapadniętego w siebie, ale być może połączonego ze światem i życiem wspomnianą drobiną wyobraźni. Niewykluczone, że w owej drobinie stworzę sobie słoneczny świat miłości i w ogóle uczuciowy raj. A być w raju nie każdemu jest dane. Mogę sobie

pobyć w takim raju i 10 albo nawet więcej lat. Dam sobie radę w ciszy pełnej fizycznego bezruchu. Może to będą akurat najszczęśliwsze chwile mojego życia, chwile prawdziwego zespolenia ze wszystkimi, których kochałem i Kocham, chwile najbardziej wyrazistej obecności w doczesnym świecie.

Dlatego nie życzę sobie aby inni, uważający się za bardziej ode mnie żywych grzebali w moich kabelkach, połączeniach, wtyczkach i pompkach. Nie życzę sobie, aby jakikolwiek etyk, psycholog, socjolog, filozof ani sędzia decydował o odłączeniu mnie od czegokolwiek, co utrzymuje przy życiu moją własną, skrajnie indywidualną drobinę wyobraźni. Nie chcę też, aby jakiś bałwan nazywał mnie strzępkiem człowieka i ogłaszał to światu za pośrednictwem telewizyjnych łączy.

Wara od moich kabelków. Jasne?! 0!

Autor: Piotr Wójcicki

Źródło: [Wiadomości24.pl](http://wiadomosci24.pl)